

KUZNICA

SPRAWY NARODOWE SPOŁECZNE I KULTURALNE DWUTYGODNIK

NR 5 (27)

KATOWICE, 1—15 MARCA 1937

ROK III.

JULIUSZ GRZEMBA

Uwagi o obronie narodowej

Hasło obrony narodowej, rzucone przez Marsz. Śmigłego-Rydza, przyjęło społeczeństwo polskie z wielkim zrozumieniem, a nawet można powiedzieć z entuzjazmem. Szerokie koła pracowników fizycznych i umysłowych, wolne zawody, instytucje samorządowe i inne, przemysł, rzemiosło i rolnictwo, duchowieństwo dobrowolnie opodatkowały się na rzecz funduszu obrony narodowej. Dodatnia reakcja narodu polskiego na apel o zasilenie funduszu obrony narodowej jest objawem nader pocieszającym. Na armię i środki wojenne dajemy chętnie i damy jeszcze więcej, jeżeli zaistnieje taka konieczność. Armia nasza musi być silna i musi być należycie zaopatrzona, aby w czasie pokoju była rzeczywiście groźna dla wszystkich, którzyby pragnęli stanąć na drodze rozwoju naszego państwa, a w czasie wojny mogła zadać druzgocącą klęskę naszym wrogom.

Si vis pacem, para bellum, bardzo stare powiedzenie, ale moc swą do dzisiaj zachowało i chyba nigdy jej nie utraci. Narody pragnące zagwarantować sobie pokój, muszą w czasie pokoju żyć i pracować pod kątem widzenia przyszłej wojny. W czasie pokoju trzeba przy-

gotować plany wojenne, przystosować środki komunikacyjne do potrzeb przyszłej strategii, ufortyfikować pewne punkty, czy całe okolice, magazynować sprzęt wojenny, nastawić odpowiednio przemysł, czy nawet stworzyć nowy, a wreszcie gromadzić kapitały.

Wszystkie te prace są konieczne i od sumiennego przygotowania zależy w dużym stopniu utrzymanie pokoju, albo też zwycięstwo wojenne. Jednak nie wolno przy tym pod groźą przegranej wojny i utraty wolności zapomnieć o innym czynniku i to decydującym o zwycięstwie lub klęsce, tj. o pogotowiu moralnym społeczeństwa. Wojnę przecież wygrywa, także dziś w epoce techniki, żołnierz, a nie karabin, czy samolot. O postawę moralną narodu, o ducha bojowego żołnierza, o jego patriotyzm chodzić nam winno w tym samym stopniu, a nawet większym, niż o sprzęt wojenny. Musimy zatem taką politykę w czasie pokoju prowadzić aby w chwili niebezpieczeństwa ręka naszego żołnierza podniesiona do bosu nie omiadała wskutek zdrady narodu.

To jest zagadnienie niesłychanie ważne, kardynalne, któremu jednak u nas poświęca się

mało uwagi. Mówi się i pisze wprawdzie o płomiennym patriotyzmie i legendarnym męstwie Polaków, o tym, że żołnierz polski choć bosi i głodny bił się walecznie i zwyciężał. Mówią to Polacy i obcy. Lecz pamiętać musimy o tym, że Polak bił się, krwawił i umierał za wielką ideę, o wolność swej wymarzonej Polski. Dziś jednak brak nam tej wielkiej idei, która by spajała wszystkich Polaków i budziła wiarę w własną moc fizyczną i moralną i serca kzepiła radością i dumą z własnej tężyzny. Można by powiedzieć, że ta idea zrodzi się w chwili niebezpieczeństwa, gdy wróg zagrozi całości naszych granic, wtedy odżyje przysłowiowy patriotyzm Polaka. Niewątpliwie w tym wypadku niejeden pacyfista czy zawodowy opozycjonista chwyci za karabin i dzielnie będzie walczył w pierwszej linii frontu. Ale czy postąpią tak wszyscy? Czy ochoczo przyłączą się w chwili niebezpieczeństwa do akcji zbrojnej i poprą ją te niezliczone rzesze wynędzniałych i zdemoralizowanych bezrobotnych oraz talangi wygłodzonego chłopstwa? Czy będą przy swym ogólnym wycieńczeniu w ogóle zdolni do tych nadludzkich często wysiłków fizycznych i duchowych, jakich wymaga wojna. Należałoby posłuchać rozmów tych ludzi „niepotrzebnych“, a nawet i tych, którzy jeszcze mają pracę i mają co jeść, a zmieni się zdanie o legendarnej dzielności narodu polskiego. A przecież to są Polacy, ci, których ofiarnością i krwią Polska może tylko zwyciężyć. Na mniejszości nasze liczyć nie możemy, bo one raczej będą myślały i pracowały nad naszą zgubą.

Oceniając z tego punktu widzenia zagadnienie obrony narodowej, należy całą naszą politykę pokojową nastawić przede wszystkim na kierunek zdecydowanie narodowy. Wychowanie w szkołach naszych oraz całe życie nasze publiczne winno być przepełnione ideą patriotyzmu bojowego. Idea narodowa winna dominować w życiu kulturalnym naszego narodu, w literaturze, publicystyce, sztuce. Eliminować należy bezwzględnie wpływy obcych agentur i rodzimego elementu destrukcyjnego, głoszącego między innymi „humanitaryzm“, „liberalizm“ i jałowy pacyfizm, tj. żydostwa. Akcję tę należy poprzeć odpowiednią polityką personalną w urzędach państwowych i komunalnych. Niedopuszczalną już rzeczą z punktu widzenia obronności kraju jest, by oficerami wojska naszego byli żydzi z krwi, oraz by ci sami żydzi byli wychowawcami naszej młodzieży i nauczycielami. Likwidując kwestię żydowską w myśl idei prawdziwej obrony narodowej, przeciwdziałamy równocześnie szerzonej przez żydów demobilizacji duchowej i wyjąłowieniu narodowemu.

Drugą bardzo poważną przeszkodą w tworzeniu pogotowia moralnego narodu jest niesprawiedliwość społeczna i brak solidaryzmu narodowego. Dużo już o tym mówiono i pisano. Lecz im więcej się mówi, tym gorzej się dzieje. Nie ma wśród starszego społeczeństwa człowieka, który by miał odwagę powiedzieć prawdę społeczeństwu i radykalnie przeciął ten ropie-

Na marginesie deklaracji pułk. Adama Koca

Deklaracja ideowo-polityczna ministra Koca nie zawiera rewelacji. Jest skromna. Trudno zresztą, aby ruch polityczny, robiony przez czynniki rządzące, wychodził poza oficjalne i obowiązujące ramy poglądów i enuncjacji. Jest przeto deklaracja z jednej strony jasnym, choć bardzo ogólnikowym sformułowaniem pewnych już bezspornych zagadnień (wieś, armia), z drugiej ustaleniem wytycznych w tych dziedzinach naszego życia państwowego, w których panował dość duży chaos (mniejszości narodowe, zagadnienia społeczne i gospodarcze). Tutaj kwestia zgody nie będzie łatwa. Prosto i wyraźnie określa deklaracja stosunek do Kościoła kat. (wyobrażamy sobie, jaką kwaśną minę zrobili po usłyszeniu tego punktu liderzy t. zw. lewicy sanacyjnej) i innych wyznań, mocne akcenty narodowe brzmią w ujęciu spraw kultury. (Słowo naród już nie jest straszakiem)!

W całości deklaracja oznacza umiarkowaną prawicowość z niewyraźnymi sugestiami totalnymi i korporacyjnymi (solidaryzm społeczny). Nic deklaracja nie mówi o bieżących problemach politycznych: o stosunku do obecnego parlamentu, ordynacji wyborczej, tak wielkich ugrupowań politycznych jak Stronnictwo Narodowe, Ludowe, P.P.S.

Waga dnia 21 lutego 37 r., nie leży zatem w deklaracji, ale w fakcie ogłoszenia nowego obozu politycznego. Po prostu nastąpi wyjaśnienie sytuacji politycznej, tak w samym obozie pomajowym, jak i na terenie politycznym Państwa w ogóle. Prawdopodobnie pewne odłamy dawnego obozu pomajowego (lewica), które obecnie plątają się między orientacją rządową a lewicą opozycyjną (np. Z.Z.Z., grupy o zabarwieniu

masońskim) odpłyną, raczej roztopią się w P.P.S. Gdyby było inaczej, znaczyłoby, że poza giętym karkiem i kręgosłupem niczego nie przedstawiają. Chyba min. Kocowi i jego sztabowi, nawołującym do grupowania się „twórczych sił w Narodzie“ w nowym obozie, nie chodzi o taką drabinę (od Moraczewskiego do księcia Radziwiłła), jaką było B.B.W.R.; o taką pstrokatą zsywkę, która by była dawnym Blokiem w II wydaniu.

Prawdopodobnie w nowy obóz wejdą luzem chodzące grupy, o narodowym i państwowym nastawieniu (np. Zw. Młodych Narod.). Oczyści się teren, sformują się obozy. Ze stanu dekompozycji przejdzie polskie życie polityczne w stadium krystalizowania się i organizowania.

Tak teoretycznie przedstawia się ewentualny bieg wypadków. Czy tak będzie? Otóż powodzenie akcji politycznej w dzisiejszej chwili dziejowej zależy o wiele bardziej niż w normalnych czasach od: a) siły i wielkości zasad ideologicznych i wynikającego z nich programu; b) organizującego i organizowanego elementu ludzkiego; c) metod roboty politycznej.

W hasła i program, nawet skromny można wlać życie, treść bogatą i dynamiczną. Zależy to od jakości ludzi i woli ludzi, którzy tak w sztabie głównym jak i na niższych szczeblach organizacyjnych będą przekuwać teorię na realną treść codziennego i przyszłego życia narodu. Ale o tych sprawach byłoby zawcześnić wyrokwować. Nie wiemy jeszcze nic bliższego o tym, jak będzie się obóz tworzył w terenie i działał. Czy będzie liczył na przeprowadzki podobnie jak B.B.W.R. z innych partii, czy też będzie próbował się oprzeć na świeżych, niezblazowanych, niekonkoniunkturalnych siłach.

jący wrzód. Zdawało się jakiś czas, że obecny premier choć w części zrealizuje pragnienia olbrzymiej większości narodu i zabroni kumulowania posad i gromadzenia rentownych stanowisk w obrębie jednej rodziny i że wprowadzi jakieś proporcje w uposażeniu prywatnych i państwowych urzędników. Powstałby krzyk, ale zyskałby na tym naród, zyskałaby sprawa jego pogotowia moralnego. Każda operacja jest bolesna, ale przywraca pacjentowi zdrowie. To zaś, co dziś dokoła siebie obserwujemy, jest jawną krzywdą, która przyczynia się tylko do demobilizacji moralnej narodu. Jeżeli jest bieda i trzeba pasa przycisnąć, to w imię solidarności narodowej winni to uczynić wszyscy, poczynawszy od głoszących te hasła. Wszyscy wtedy poczują się członkami jednej rodziny, jednej ojczyzny i łatwiej będzie im przetrzymać te ciężkie czasy. Zmniejszyłaby się wtedy także liczba bezrobotnych w przemyśle i administracji państwowej i znalazłby się również środki na kolonizację naszych wschodnich ziem. Obecnie jednak mamy względnie cienką warstwę uprzywilejowanych zasłużonych liczących swoje dochody na tysiące, nawet dziesiątki tysięcy złotych, a pod nią masę pokrzywdzonych, których dochód wyraża się w dziesiątkach złotych albo nawet groszach. Czyż jednak zasługi uprzywilejowanych były i są tak wielkie, że dla nich trzeba poświęcić zdrowie, dobro i radość większości narodu? I czy wielu z tych uprzywilejowanych ma w ogóle jakie zasługi?

Jest to anomalia wysoce krzywdząca szerokie masy narodu polskiego, uniemożliwiająca pociągnięcie jakże wymownie określanych „dołów” społeczeństwa naszego do zgodnej współpracy nad budową lepszego jutra. Chcąc jednak „doły” pociągnąć i podciągnąć, trzeba w naszych specyficznych warunkach do tych „dołów” się zniżyć. Góry w przyrodzie wyrosły kosztem dolin i jeżeli poziom dolin pragnie się podnieść, musi się obniżyć górę. Inaczej nie można. To jest moralne oblicze naszych stosunków.

Z zagadnieniem tym łączy się ściśle błędna, a na dodatek nietęgi i nieobrotowy kraj polityka populacyjna. Zarzucono u nas gdzie indziej za zdrową i niesłychanie cenną uznaną zasadę popierania rozrodczości narodu. Nasz stosunkowo wielki przyrost naturalny był dla pewnych teoretyków i polityków objawem groźnym dla pokoju wewnętrznego i miał stanowić hamulec w podniesieniu się dobrobytu kraju. To też nawet bez narkozy pięknych słów dokonano radykalnego cięcia w budżetach rodzinnych i zmieniono u nas dodatki na dzieci w służbie państwowej, karząc niejako materialnie ojców i matki za to, że wydali liczniejsze potomstwo. Uposażenie zaś wyznaczono tak niskie, zwłaszcza dla sił początkujących, że młody obywatel z cenzusem nie może się żenić, bo nie może zapewnić swej rodzinie minimum egzystencji. Obecnie alarmuje się społeczeństwo wiadomościami o niepokojącym stanie zdrowia naszej młodzieży zwłaszcza akademickiej, forsuje się towarzystwo opieki nad matką i dzieckiem i uprawia się intensywną akcję dożywiania dzieci w wieku szkolnym. Akcja ta jednak jest chybiona, bo zła nie wyleczy, a jeszcze szerzy nowe zło, mianowicie kaleczy psychicznie młodzież i starszych przez to, że czyni z nich żebraków, żyjących z jałmużny. O byt rodziny starać się winien ojciec, a nie jakieś towarzystwo dobroczynne. Tylko temu ojcu trzeba dać godziwy zarobek za jego pracę i specjalne obowiązki wydania i wychowania zdrowego pokolenia. Czyż racja polska rzeczywiście wymaga tego, aby dzieci się u nas nie rodziły, albo były niedożywione lub, by je żywiła i ubierała Rodzina Urzędnicza i Rada Rodzicielska w szkole, tylko nie ojciec? Cui bono?

To są kardynalne zagadnienia decydujące o tężyznie moralnej i fizycznej naszego narodu, jak też o jego patriotyzmie bojowym. I problemy te muszą prędzej czy później z punktu widzenia obronności kraju być rozwiązane dla dobra całego narodu. Solidarność narodowa musi zwyciężyć, jeżeli na serio bierzemy powagę obecnej chwili i poważnie myślimy o obronie narodowej.

JÓZEF ZAWADA

CIENIE CZESKIEJ DEMOKRACJI

Z kół czechosłowackich otrzymujemy charakterystyczne uwagi, tyżące się — jak się wyraża autor — cieni czeskiej demokracji. Twierdzi on, że od chwili powstania republiki czechosłowackiej utworzyła się koalicja rządowa, składająca się z kilku najsilniejszych stronnictw czeskich. Stronnictwa te podzieliły republikę na tak zwaną sferę wpływów, podlegających poszczególnym stronnictwom. W rezultacie utworzył się taki stan rzeczy, że każde stronnictwo uważa przydzielone mu według klucza partyjnego ministerstwo za swoją domenę, którą rządzi bez liczenia się z interesami społeczeństwa, lecz z uwzględnieniem tylko partyjnych interesów. Do poszczególnych więc resortów przyjmuje się urzędników nie według ich istotnej wartości, lecz według ich przynależności partyjnej, oraz tworzy się różne kartele rzekomo w interesie obywateli, w rzeczywistości zaś w celach wybitnie partyjnych i z uwzględnieniem interesów partii. Ponieważ zaś poszczególni czołowi ludzie dotyczącej partii nie zapominają w tym wypadku o własnym interesie, przeto stanowi to czynnik mocno demoralizujący w stosunku do społeczeństwa, które chętnie idzie w ślady swych przywódców.

Dyktatura stronnictw rządowych — skarży się dalej autor — zmusza swych członków do bezwzględного posłuszeństwa i podporządkowania się interesom partii, jednostki zaś poddające krytyce jej metody rządzenia, bywają usuwane i skazywane na banicję partyjną.

Polityka owych partii — jak wspomniano — obowiązuje wszystkich ich posłów i każde pociągnięcie na szachownicy politycznej bywa z góry obmyślane, skąd dochodzi do tak rażących szczegółów, że gdy poszczególni posłowie czy senatorowie wygłaszają mowy opozycyjne podczas sesyj sejmowych, z chwilą głosowania wszyscy uchwalają to, co poprzednio zwalczały. Czyni się zaś to dla wywołania wrażenia w społeczeństwie, że zasada demokratyzmu bywa przestrzegana.

Ostatnio na tle tego rodzaju „podwórkowej” polityki zarysowało się poważne nieporozumienie wśród stronnictw rządowych. Mianowicie przed-

stawiciel czeskich narodowych socjalistów, senator Kłofacz, zarzucił stronnictwu agrariuszy, że celem zyskania głosów w sferach wojskowych zwracali się potajemnie z odezwaniami do żon oficerów, by wpływały pośrednio na oddawanie głosów ze sfer wojskowych na rzecz czeskich agrariuszy. Ubocznie należy zaznaczyć, że sfery wojskowe są istotnie zastępywane w sejmie i senacie praskim przez stronnictwo czeskich agrariuszy. Senator Kłofacz zarzucał następnie agrariuszom, że w mianowaniu starostów decydują nie czynniki rządowe, lecz stronnictwo agrariuszy, co wywołuje chaos w urzędowaniu, zwłaszcza na prowincji. Nawiasem trzeba jeszcze dodać, że minister spraw wojskowych gen. Machnik i minister spraw wewnętrznych Czerny są członkami obozu agrariuszy.

W odpowiedzi prasa agrariuszy zarzuciła stronnictwu narodowych socjalistów, że minister oświecenia publicznego Dr. Franke należy do ich obozu, i swoje ministerstwo uważa także za domenę narodowych socjalistów. Ten sam zarzut postawiono czeskim socjalistom. Przeciwno nim wystąpiło również stronnictwo czeskich faszystów, twierdząc, że za rządów ministra Bechynego, członka stronnictwa socjalistów, wszystkie koleje czeskie stały się domeną socjalistów i że o przyjęciu do pracy na kolei decyduje legitymacja członkowska czeskich socjaldemokratów. Jedynie stronnictwo ks. Szramka nie było jeszcze atakowane. Inaczej możnaby tu zastosować maksymę: „Bellum omnium contra omnes!”

Nie wynika jednak stąd, że stronnictwu ks. Szramka nie możnaby niczego zarzucić. Przede wszystkim zarzuca się ks. Szramkowi, że swego katolicyzmu nadużywa do celów sprzecznych z interesami katolicyzmu. Swego czasu katolicyzm ks. Szramka stał się tematem publicznych wygłoszeń przez arcybiskupa Jana Haszlera. Wówczas policja zabroniła mu tego rodzaju występów, nie czyniąc tego bynajmniej w obronie krytykowanego katolicyzmu stronnictwa ks. Szramka, lecz w obronie solidarności koalicji rządowej.

Niedawno temu posłowie rządowi skarżyli się w sejmie praskim na nadużywanie marki partyjnej. Okazuje się bowiem, że przy udzielaniu pracy, zwłaszcza na prowincji, może tylko ten uzyskać zatrudnienie, który może się wykazać legitymacją partii rządowej. Reszta robotników zaś uważana jest za obywateli drugiej klasy.

W rezultacie przekonania komunistyczne są dzisiaj bardziej respektowane u władz, aniżeli zasługi narodowe lub patriotyzm, gdyż obecny kierunek polityki stronnictw rządowych, kierunek polityki sowieckofilskiej sprzyja tego rodzaju przewartościowaniu idei. W sumie kierunek owej polityki sprawia wrażenie, że obecna koalicja rządowa stoi wyłącznie na usługach Moskwy, że sama stanowi trzon „Frontu ludowego” w Czechosłowacji. Pozornie niektóre stronnictwa wyrzekają się wszelkiej styczności z Moskwą. Czyni to przede wszystkim stronnictwo czeskich agrariuszy, w rzeczywistości jednak popiera ono wszelkie sowieckofilskie poczynania rządu praskiego. Komuniści zaś w zamian za to wszystko — aczkolwiek nie wchodzą w skład koalicji rządowej, głosują demonstracyjnie za polityką rządu praskiego, głosują za przyjęciem budżetu, popierają armię czechosłowacką, a obecnie występują publicznie za integralnością granic Czechosłowacji, aczkolwiek do niedawna jeszcze brali w obronę Słowaków, nadając tej obronie charakter wybitnie antypaństwowy.

Niedawno Kłofacz podkreślił, że komuniści czescy nie mogą inaczej czynić, gdyż silna armia czechosłowacka i nienaruszalność granic republiki leży w interesie Sowietów. Świadczy to wymownie, że dzisiejsza koalicja rządowa czeska jest filią rządu moskiewskiego. Czy będzie to zbawiennym dla przyszłości republiki czechosłowackiej, przyszłość pokaże.

KAZIMIERZ FORYŚ

Nocna zmiana w Hucie Bankowej

O zmroku
chlusnęły wypusty hucianych pieców
lawy płonącego żelaza.
Nad miastem łuny
rozpięły upiorny świt
czerwieni i fioleto.

Odblask drgający
ożywił domy, dźwignął i wgniółł
dachy w powalę nawistnych chmur.
W napięte struny
splątanych anten
wiał rozpaczliwą melodję wmiółł.

Przed dziesiątą
rytm nóg, niepokojonych pośpiechem.
Czarny, milczący tłum.
Idą ludzie mierzyć swój trud
nocnych godzin,
wytężonym, świszczącym oddechem.

Przy motorach, blokach,
w wielkich ogni wpatrzeni zlepi,
stoją czujni.
Nie liczą: ile wart żar, ile chłód,
i jak nam drogo sprzedają
Francuzi polski chleb.

Wyjdą o szóstej zgarbieni.
Złab kąśliwy i zły
ogarnie przepecone ciała.
Mróz wycisnie brud
z oczów przysięgłych.
Na ziemię popłyną czarne łzy...

JAKUBOWSKI JÓZEF

Ilu jest Polaków poza granicami Państwa Polskiego

W związku z niedawno obchodzonym „dniem Polaka z za granicy“ nie od rzeczy będzie uzupełnić artykuły szczegółowe, które się ostatnio na temat Polaków za granicą w „Kuźnicy“ pojawiły. Ogólnym bilansem, któryby przypomniawszy szerszym sferom naszych czytelników, nie mających czasu czy możliwości szperania po źródłowych wydawnictwach i rocznikach statystycznych, ilu żyje właściwie Polaków poza granicami obecnego Państwa Polskiego i jak są oni rozmieszczeni w poszczególnych krajach. Odpowiedź na to pytanie nie jest rzeczą tak łatwą, jakby się to na pozór wydawało, a przyczyny takiego stanu rzeczy są bardzo różnorodne. Należy do nich przede wszystkim tendencyjność statystyk niektórych państw, starających się celowo za pomocą różnych sztuczek spisowych obniżyć liczbę mniejszości polskiej, a powiększyć ilościowo naród panujący. A obok wyraźnych fałszerstw, do zatarcia właściwego stanu liczebnego ludności polskiej przyczynia się jeszcze nieraz i brak uświadomienia narodowego części tej ludności, jej zależność ekonomiczna i wyraźny terror w stosunku do niej stosowany. Odnosi się to niemal do wszystkich państw sąsiadujących z Polską, w całym zaś szeregu państw innych, trudność ustalenia dokładnej liczby Polaków polega przede wszystkim na wadliwości statystyk, polegającej na nieodróżnianiu pojęcia obywatelstwa od pojęcia narodowości.

Te i szereg innych przyczyn powodują, że w obliczaniu naszej Polonii zagranicznej zachodzą znaczne różnice i to tak wielkie, że między maksymalną a minimalną liczbą Polaków za granicą, dochodzą do 4 milionów ludzi, wahając się między niespełna 10-ciu a niespełna 6-ciu milionami. Jaki jest więc rzeczywisty stan liczbowy ludności polskiej za granicą? Najbliżsi będziemy prawdy, jeśli wypośrodkujemy obydwie te krajowe liczby. Dojdziemy wówczas do liczby 8 milionów, a za tą liczbą oświadcza się także znaczna większość literatury dotyczącej tego przedmiotu. Przyjrzyjmy się więc teraz rozmieszczeniu Polaków w poszczególnych państwach, opierając się głównie na danych, zaczerpniętych z wydawnictw „Światowego Związku Polaków“ oraz uzupełnionych przez informacje ostatniego Rocznika Statystycznego.

Wszystkich Polaków, mieszkających poza obszarem dzisiejszej Polski, możemy podzielić na dwie zasadnicze grupy. Pierwsza, to Polacy w państwach sąsiadujących z Polską. Ogromna

większość Polaków w tych państwach mieszka na obszarach etnograficznie i historycznie polskich. Druga grupa, to Polacy na emigracji, stanowiący w danych państwach element napływowy.

I. Polacy w państwach sąsiadujących z Polską.

W Niemczech 1.450.000
z tego na Śląsku Opolskim 700.000
na Pograniczu Zachodnim 100.000
w Warmii i Mazowszu Pruskim 350.000
emigranci w głębi Niemiec 300.000

W Wolnym Mieście Gdańsku: 50.000

W Czechosłowacji: 250.000
z tego na Śląsku Zaolzańskim 120.000
na Czaczy, Spiszu i Orawie 100.000
emigranci w głębi Czechosłowacji 30.000

W Rumunii: 80.000

Na Litwie: 200.000

W Łotwie: 75.000
w tym w dawnych polskich Inflantach 30.000

W Z. S. R. R.: najmniej 1.000.000
z tego na Ukrainie 500.000
na Białorusi 300.000

Razem więc w krajach sąsiadujących z Polską żyje około 3.105.000 Polaków.

II. Polacy na emigracji.

We Francji 600.000
w Belgii i Luksemburgu 20.000
„ Austrii 15.000
„ Węgrzech 15.000
„ Jugosławii 15.000
„ Danii 10.000

w Holandii 6.000
„ Anglii 2.000
„ Estonii 2.000
„ Szwajcarii 2.000
„ Turcji 1.000
we Włoszech 1.000
w Stanach Zjednoczonych 4.000.000
„ Brazylii 300.000
„ Kanadzie 150.000
„ Argentynie 65.000
„ Urugwaju i Paragwaju 5.000
„ Mandżurii 4.000
„ Australii 2.000
„ Afryce 1.000

Razem więc Polaków na emigracji jest 5.216.000. Dodając do tej liczby Polaków w krajach ościennych — 3.105.000, otrzymamy liczbę 8.321.000, wyrażającą ogólną ilość Polaków poza granicami państwa polskiego.

W zestawieniu powyższym uwzględnione zostały tylko te państwa, w których liczba Polaków sięga przynajmniej tysiąca głów. Państwa o mniejszej ilości Polaków nie zostały tu wymienione, mimo że nie ma chyba na kuli ziemskiej kraju takiego, w którym by nie można było spotkać Polaków. W czasie podróży „Daru Pomorza“ marynarze nasi spotkali Polaków nawet w takich krajach, w których się ich absolutnie spotkać nie spodziewali. Nadmienić jeszcze należy, że liczby Polaków zwłaszcza w niektórych państwach naszej emigracji są niekiedy bardzo płynne i mogą ulegać znacznym zmianom. Końcowa jednak liczba ogólna wydaje się być najbliższą prawdy. O tej z górą ośmiomilionowej rzeszy naszych rodaków poza granicami państwa powinniśmy pamiętać.

ZDZISŁAW HIEROWSKI

INŻYNIER SZERUDA

Biorąc do ręki „Dziewczęta z Nowolipek“ Gojawczyńskiej, z zalem stwierdzałem fakt, że Śląsk wyszedł z kręgu zainteresowań autorki, która potrafiła na śląskie tematy napisać poprzednio dwie książki dobre, oryginalne, dalekie od naszych regionalnych szablonów a przez to żywe i świeże. Ale było to dla mnie równocześnie dowodem, że ma się tu do czynienia z talentem śmiałym i prawdziwym. Bo nic nie było łatwiejszego dla Gojawczyńskiej, jak pójść

śladowi swego debiutu i wypisywać się z uporem na śląskie tematy. Powodzenie, zwłaszcza tutaj, miałyby murowane, jeśli się tylko nie poważyła zadrasnąć nieostrośnie dzielnicowej ambicji. Poprostu miała wszelkie szanse na vice-Morcinka. Ale wybrała drogę inną. Sięgnęła w inne środowisko i na jego kanwie osnuła swe duże, ciekawe i poważne dzieło.

Biorąc do ręki „Inżyniera Szerudę“, ostatnią powieść Gustawa Morcinka, i czytając pierwsze

ROMAN KOŁODZIEJCZYK

Fragment

W śródmieściu są domy jak paciorki. Wysokie, jednostajne, popielate. I gdyby nie jezdnia, gdyby nie martwe podwórza, zbiegłyby się w jednolity miąsz.

Zmierzwione prostopadłości nad ludzkimi głowami, skrawki nieba i jednostajność spokojnych ulic.

W podwórzach dzieci wygrzebuja marzenia z luźnego bruku, z brudnych kup piasku, z krzyku sąsiadek.

— Szewc Mikota stoi rozmazany przed drzwiami i na próżno wyczekuje lekarza.

Dzieci otaczają starego i kpią drobnymi krokami:

Mikota, Mikota,
nadeszła ochota,
Mikota, Mikota
zepsuła się psota...

— tak rodzi się piosenka dziecięca, powtarzana postokroć na podwórku, wśród piasku brudnego jak dziecięce dłonie.

Szewc Mikota stoi bezradny i mimowoli zaciska pięści.

— I bieda była i względny dobrobyt... i głodu się człowiek nacierpiał...

Ot! Życie swoje wkleił w parterowe okna za tabliczkę z brzydkim, brunatnym butem.

— Gdzie ten lekarz? Gdzie le...karz?! W izbie żona napróżno jęczy — twardymi, kościstymi palcami drze czerwien pierzyny, jedynę pozostałą z całego dobrobytu. Drży na brudnej powale snop zakopconego światła.

Nie! Ona umrzeć nie może! Przecie wnuki — wnuki modlą się o jej zdrowie.

Zerwie się stary Mikota i wybiega przed bramę:

— może już przyjechał, tylko trafić nie może?

— — Hm — Mikota — trudno! Trzeba będzie kupić kosztowne lekarstwo. Tu macie receptę i prędko do apteki.

Patrzy na lekarza bezradnie.

— Ile... to bę...dzie koszt-tować?

— Do 15 złotych...

Zadrży nerwowo skołatana głowa.

— Dziękuję

Tak. Innej rady nie ma. Trzeba zająć do pana Borty. Może pożyczy. Taki bogacz!

— Nie i nie! Nie mam. No, mówię, nie mam i szkoda słów!

— Proszę pana... przecie żona umira... a to...

— Nie mam. A choćbym miał — nie dam. Sam potrzebuję. Zresztą i tak byście nie oddali! No — dowidzenia! Niech wam dadzą synowie.

Synowie! Szewcy, jak on; wiadomo, sami w biedzie.

Mikota wraca do domu obolały rozpaczą. Patrzeć w zamierające oczy żony, widzieć cierpienie, spływające wzdłuż wychudłych dłoni. Z warg zapadłych w głąb wydobywa się urywany kaszel, charkot bolesny pomieszany ze łzami.

I ksiądz wyszedł uśmiechnięty, i gromnica dopalała się ostatnimi płomieniami.

Dzieci po swojemu gmerają w piasku i bez przerwy drażnią:

Mikota, Mikota,
nadeszła...

Kotłuje się cała terażniejszość w wymęczonym mózgu. Borta za ladą — synowie na potłamanych zydlach — żona umierająca kaszlem. Nie ma drogi wyjścia!

Głodzi jej dłonie i coś szepce jej wpatrzonym w jego źrenice oczom. Potem odwróci się, bo łyzy zaczynają się sączyć wzdłuż zmarszczek. — Wody — szept krzykliwy.

Kiedy wrócił z wodą w obitym naczyniu, został zaczerwienione śmiercią oczu.

jej wiersze o zgiełku czekających maszyn, z żalem musiałem skonstatować niewolnicze związanie autora ze środowiskiem, niezdolność do wyjścia poza nie, jakby tchórzliwe czepianie się wciąż tego samego tematu czy tylko tła, budowanie na nim całej swojej pisarskiej kariery. Taka nierozważna polityka musiałaby się zemścić nawet na bardzo wybitnym talencie. Nic też dziwnego, że na twórczość Morcinka jej ujemny wpływ jest widoczny. W pamięci naszej poprostu rozplywają się i giną niemal bez śladu jego dawniejsze książki. Pozostają z nich strzępy tytułów, „ludzie są dobrzy”, miód w sercu i katastrofy w kopalniach. Reszta tworzy mglistą, niewyraźną całość czegoś, co się stale w różnych modyfikacjach i wariacjach powtarza: „Byli dwaj bracia”, „Serce za tamą”, „Wyrębany chodnik”, „Chleb na kamieniu”, „Inżynier Szeruda”. Z tego szeregu wybija się rozmiarami, pracowitością i pewną oryginalnością „Wyrębany chodnik”, projekt na śląską epopeję, dzieło tworzone z rozmachem i ambicją przerastającą siły pisarza, nie mieszczące się w granicach jego twórczych możliwości, dzieło, w którym słabe strony talentu Morcinka występują szczególnie wyraźnie, gdzie talent ten zarysował się przede wszystkim jako surowy materiał, wymagający solidnej obróbki.

Prosta i nieskomplikowana jest ideowa strona twórczości Morcinka, prości i nieskomplikowani są jego bohaterowie. „Ludzie są dobrzy” — oto materiał, z którego tworzy on wszystkie swoje postacie, wyjawszy Niemców, Czechów i renegatów. Są tam ludzie albo anielsko dobrzy od początku do końca, albo tacy, którzy ulegają chwilowemu załamaniu, by znów poddać się przemożnej sile dobrych skłonności, albo źli, ale nie tak naprawdę źli, powiedzmy, ucharakteryzowani na złych, w których sercach na końcu znów to dobro zwycięża. Bardzo to jest piękne, ale równocześnie i bardzo mało przekonujące. Morcinek ślizga się po powierzchni duszy ludzkiej, umie doskonale *denuncjować* drobniaki charakterystyczne, ale nie wnika w głąb duszy swego bohatera, nie widzi w nim żywego człowieka i żywym nie umie go stworzyć. Jego ludzie ruszają się, mówią i robią tak, jak tego chce autor i jego tezy moralne, które chce zilustrować. Nigdy prawie nie przemawia do nas z kart jego książek człowiek z krwi i kości, nigdy nie kipi całą pasją i bogactwem życia — zawsze pozostawia po sobie wrażenie kukielki, ożywionej skomplikowaną siecią nitek poruszanych ręką autora.

Bodaj że najsilniej prawda psychologiczna przemówiła u Morcinka w „Gołębiach na dachu”. Tam umiał dostrzec jasne i ciemne strony młodych dusz i umiał je zanotować. Nic więcej — tylko zanotować. Obserwacji tych nie przetworzył jeszcze dotychczas na pełną, doskonałą, artystyczną całość. Są to tylko migawki, chwytające życie i jego nie zawsze wesołą i „dobrą” prawdę na gorącym uczynku.

Spróbujmy przejść w pamięci przed galerią postaci Morcinka. Czy utkwiła nam która postać z taką siłą, czy zarysowała się z taką plastyką i wyrazistością, by nie zatarł jej bieg czasu? Czy pamiętamy, któregoś z jego bohaterów tak, jak pamiętamy Judyma, Barbarę, Bogumiła i tyłu, tyłu innych? Czy potrafił wstrząsnąć nami los jego bohaterów, tak jak dzieje tych na chybił trafił wymienionych ludzi? Niel. Postacie Morcinka zostawiają po sobie pustkę i choć są to bardzo dobrzy ludzie, choć autor wiarą w dobroć ludzką wszystkie swe książki przepoił, wiary tej nie przelał na czytelnika. Żadna jego książka nie daje wiary w ludzi, nie daje ufności i siły. Argumenty, rozumowanie, psychologia są zbyt uproszczone i ułatwione i dlatego tylko zbyt prostym душom mogą wystarczać i zbyt powierzchowne mogą zaspokajać potrzeby.

Inżynier Szeruda — to nieudana postać i nieudana książka.

Bohater ten powiększa galerię postaci literackich umiejętnie z papieru wycinanych. Jest właśnie typowym przykładem człowieka ucharakteryzowanego przez autora na sui generis

demoną, który w końcu zrzuci maskę i ukazuje oblicze dobrego a nieszczęśliwego tylko człowieka. Żadna siła i żaden argument nie potrafił mnie przekonać o cierpieniu Szerudy i spustoszeniu, jakie doznany ból w duszy jego sprawił. Szeruda to kiepski aktor, to niedorozwinięty potomek „Adama Szaleńca”, „Pana Trzech Pągórków” i tym podobnych romantycznych bohaterów, odludków, egzaltowanych, duchowo upośledzonych kochanków, dla których wrogiem był cały świat i wszyscy ludzie. Romantyczna sceneria, na jakiej tle tamci bohaterowie występowali, odludne zamki, klasztory, ruiny, krajobrazy orientalne, zastąpiona tu została tłem kopalni, zgiełkiem maszyn, krajobrazem beskidzkim, a bohater dzikiego rumaka zamienił na służbowe auto. Nie mam zamiaru sugerować Morcinkowi świadomych pokrewieństw pomiędzy Szerudą a plejadą kalkowanych z Byrona bohaterów. Czytając jednak o tym, jak to Szeruda nabierał w serce mocy i zawziętości, słuchając huku pracujących maszyn lub wyciągając ramiona do gwiazd na balkonie „Jasnoty”, nie mogłem się oprzeć przekonaniu, że koligacje te, choć mimowolne, są zbyt oczywiste i istotne. Warto choć jeden cytat z pierwszej strony przytoczyć: „Inżynier Szeruda często zachodził do sortowni. Stawał na brzegu najwyższej platformy i z lekka nachylony, patrzył w jej głębinę. Wsłuchany w zgiełk maszyn wchłaniał w siebie kanciasty rytm ich pracy. Wówczas serce jego pęczyło zawziętością, oczy zaś szarzały. Wracił do ludzi zimny i wyniosły”.

Szeruda do przedostatnich stron książki zgrywa się, by wydobyć ze siebie jak najwięcej urojonego demonizmu i dzikości. Urąga bez powodu Bogu ducha winnej dziewczynie, terroryzuje otoczenie świadomie przybieraną i wypróbowaną pozą i miną, urządza kawały z gaszeniem światła, używa sobie na nocnych jazdach z piekielną szybkością, pieści się kokieterijnie myślą o samobójstwie, miażdży zającą, który mu uosabnia rywala i czyni wiele podobnych rzeczy, które w czytelniku wywołują niesmak, jeśli nie wrażenie śmieszności. Jest w tym wszystkim nie-naturalny, tak daleki od prawdy, że nie budzi najmniejszego współczucia, jest nam zupełnie obojętny, obcy. Komediant!

Nie ma w tym człowieku żadnej siły, nie ma żadnego wewnętrznego pionu, nie ma nic, coby mogło przekonać nas o jego wartości i krzywdzie. Pod wpływem przygodnie napotkanej i rozkochanej w nim nauczycielki, wstrząśnięty katastrofą na kopalni i jej dramatycznym przebiegiem — odradza się, nabiera wiary w dobroć ludzi, szacunku do nich, sam staje się dobrym, przebacza winy, wraca do równowagi. Tendencja moralna budująca, ale obydwie fazy jej przeprowadzenia tak płytkie, sztuczne i blade, że żadnego nie wywołują efektu. Na końcu pozostaje osad niechęci i zwątpienia: na czym buduje ten człowiek swoją równowagę duchową i spokój — czy na trupach tych ludzi, których śmierci zawinił, czy na złamanym życiu matki młodego górnika i jego narzeczonej. Krwawą drogą szedł do tego swojego zwycięstwa, cudzym kosztem zdobywał sobie szczęście.

Mogłoby to wszystko wziąć inny obrót i inaczej wyglądałaby ta książka, gdyby Morcinek włożył w nią więcej pracy artysty i więcej znajomości duszy ludzkiej i znajomości życia. „Inżyniera Szerudy” autor nie przeżył, nie odczuł, nie przetrawił. Wykombinował fabułę, założył pewną tendencję i do niej dorobił resztę: ludzi i sytuację.

Artystyczna strona tej powieści budzi moc zasadniczych zastrzeżeń i musi być poddana surowej ocenie. Kompozycja jest szablonowa, nieprzemyślana, utyka na zupełnie zbędnych i nic z tokiem powieści nie mających wspólnego dygresjach. Czasem ma się wrażenie jakby autor w tej książce pragnął wyładować cały zapas swej wiedzy i obserwacji bez względu na to, czy jest tu dana rzecz potrzebna, czy nie. Sytuacje świadczą najdowodniej, w jakim oderwaniu od realnego podłoża i konkretnego

IAN BARANOWICZ

List

Krokwie liter
klecone żmudniej
niż graślawe kroki w orce —
twój list —

Dudni podworcem
tygodni nuta:
rzęzącej krtani świst,
mordęga
czkawką pośpiechu szczuta.

Wezglowia upłaz,
wilgocią kropli pułap szlocha.
Wiatr — kozioł snopy narożników zbódt...
Troska kumocha
u wrót
przycupia —

Szarówki zagać —
pykania z przygastej fajki,
żółdka zgaga
zadumy —
bajki —

Onegdaj —
Dziś:
Treść —
jak wymłot cepów na klepisku dni,
głową mi błąka
wieś
chata,
ty — —

Choć — pocóż listy?
ziemia dziergała mi o tobie haft
zęciem łubinu
złocisty —

To jasne:
ku szczęściu wyścig
zawisł od siejby twej najprostszą z prawd
jak ziarna w kiści. —

W obłocznych szczerbach
nim noc zachodem przyjścia cud wyzłocił
przeżywam nieuznany trud człeka — pasierba
idącego uwrociem

W gorączce szadej
słowo — OJCZYŻNA
wplątałem żarliwie w twój o darń nieżyzną utarg
i na pierś kładę
order dostojny:
POŁONIA RESTITUTA.

tworzywa pisana była ta książka. Są nienaturalne, naciągane, czasem naiwnie śmieszne (przykład: rozmowy balkonowe Szerudy z Romanowską, rozmowy i spotkania z Wagnerem). Czasem wyglądają, jakby wyszły spod pióra bardzo przeciętnego i młodego debiutanta.

A poza tym „Inżynier Szeruda” jest w ogóle napisany na jedno kopyto, jak wszystkie niemal książki Morcinka. Dorobek językowy i stylistyczny tego pisarza jest nad podziw ubogi. Ciągłe te same określenia, zwroty, porównania, epitety, powtarzające się do znudzenia. Zdecydowanie nieudolne silenie się na plastykę i oryginalność stylu i obrazowania. Najohydniejszy naturalizm niektórych opisów świadczy, że autor znajduje w tej metodzie dziwne, perwersyjne poprostu upodobanie. Często czytelnik zmuszony jest stwierdzać, że język powieści jest niechlujny. Kilka przykładów: „Jeżeli zajrzeć w jego (otworu) głąb, ma się wrażenie, że stoi nachylony nad głęboką studnią...” (str. 312), „wsparł głowę na biurku... i poddał się snu” (str. 296), „jego dotychczasowy spokój ustąpił gniewu” (str. 20), „...zapach ich rozparzonych ciał, potu, węgla i pni sosnowych czynił powietrze ciężkie i duszne” (str. 16), „dlatego bowiem przyszedł do swoich maszyn, bo musi myśleć o kopalni” (str. 212).

Niektóre porównania wołają o pomstę do nieba. Np. palce grającej na fortepianie młodej kobiety „czasem podobne są do stokrotnych stąpań spłoszonej stonogi”, a myśl o śmierci wygląda następująco: „Podobna jest do zdechłego psa, co przez cały tydzień leżał pod sor-

townią. Chłopczy, zbierający odpadki węgla na hałdzie, ciskali w padlinę kamieniami tak długo, aż przebili skórę na brzuchu, a wtedy zielonkawę cuchnącą jelita wywaliły się na zewnątrz. To jest myśl o śmierci“.

Do tych cytatów miałyby się ochotę dodać rejestr szablonów stylistycznych Morcinka. Są już one tak jednak wyświechtane, że muszą się każdemu uważnemu czytelnikowi narzucić.

Z całej powieści stosunkowo najlepsze wrażenie robią niektóre sceny w zasypanym chodniku. Ale i z nich nie potrafił autor wydobyć całej siły i tragizmu. Za dużo w nich literatury, za wiele drobiazgowości, za mało natomiast współczucia i przejęcia się dolą zasypanych górników.

W końcu zaznaczyć trzeba, że między pierwodrukami w I. K. C. a wydaniem książkowym powieści istnieją pod koniec wcale poważne różnice. Np. zupełnie odmienne jest zakończenie. Nie wiadomo, czy jest to wynik późniejszych przeróbek, czy skutek zbyt dużej ustepliwości pisarza wobec wymagań redakcji.

Nowa ta książka Morcinka nie wnosi nic nowego. Podkreśla najsłabsze strony jego talentu, usprawiedliwia dotychczasowe surowe sądy, stwierdza, że autor nadal uparcie zamierza kołować po mocno już przez siebie samego wydeptanych ścieżkach.

Na marginesie Marcyny

Przyznam się, że pisaną gwarą Jontka z Bugaja powieść Kędziory wziąłem do ręki z zainteresowaniem. Zainteresowania tego nie zrodziła świadomość wysokiej nagrody, jaką książkę odznaczono, ani chęć poznania nowego talentu, jawiącego się na widowni literackiej. Chodziło mi o podejsie do rzeczywistości wsi współczesnej, wsi, o której coraz gwałtowniej na łamach dzienników, i zdaje się coraz więcej laurowo i ciemno.

Tym postulatam — nazwijmy go społecznej natury — zaprzątnięty — odsunąłem na dalszy plan rzeczy niewątpliwie wartości, jak dobre opanowanie gwary, kompozycję, czy obfitość szczegółów obserwacyjnych.

Nie interesowałem się zbytnio nadmiarem dialogów, czy brakiem opisowości — cechami charakteryzującymi młodzieńczość pióra autora.

Nie były to sprawy zasadnicze. Podchodziłem do książki jako społecznik, nie jako esteta — powiem więcej — jako chłop, który się na wsi wychował, głęboko przeżywa tragizm jej bieżących problemów i ze szczególnym ambitem interesuje się tym wszystkim, co z jakiegokolwiek strony dotyka jej zagadnień.

Książka Kędziory nie tyle mię rozczarowała, ile wzbudziła we mnie lęk. Tych marcynowskich bohaterów arcyfizjologicznych i arcyprymitywnych nie mogę w żaden sposób przyfastrygować do tętniącej prawdy wsi. Nawet techniką artystyczną tego gatunku, jaki reprezentuje utalentowany pisarz z Bronowic. Stanowczo zdystansowała ich współczesność wsiowska. Zwłaszcza jeśli dotyczy to środowisk bliżej-miastowych. A o takim przecież traktuje autor „Marcyny“. Akcja powieści rozgrywa się niewiele kilometrów od — Krakowa. Czyżby nad ślicznym przełomem Wisły w Piekarach żyli ludzie z epoki strzygoniów i boginek? Jeśli tak, wartaloby zorganizować ekspedycję naukową.

Ale żarty na bok.

Zastanówmy się poważniej nad niebezpieczeństwem, jakie kiełkuje z treści jego pokroju książek o wsi.

Przeciętny czytelnik przywykł do uogólnień. Postaci środowiska stają się dlań typami czy reprezentantami, wydając sąd o tym czy owym, wydaje sąd o wszystkich. Nie uwierz, żeby ktoś, przeczytawszy „Marcynę“, powiedział: — takie są Porowice. Powie: — taki jest chłop!

I to będzie pierwszym jego grzechem przeciw rzeczywistości chłopskiej.

Bo patrzeć na wieś oczami Kędziory czy Jalu Kurka — to dezorientować się społecznie.

Streszczam:

Dzisiejsza wieś to nie tylko zacofanie i prymityw wizerzeniowy czy gospodarczy. To mocny, świadomy ruch młodych, solidaryzowanie się starych, organizacja, krytycyzm, postęp. Przodownicy tego pokroju winni znaleźć się w książkach, odzwierciedlających prawdę wsi współczesnej.

Dlatego autorowie „Dwóch Burz“ czy „Niespodzianek“, „Marcyn“ czy „Gryp szalejących w Naprawie“, patrząc na wieś przez odpustowe okulary fizjologii czy dekalogu, wyrządzają głęboką krzywdę społeczną chłopu.

J. Bar.

Dalszy ciąg cyklu artykułom o Konmeneji Genemskiej ukaże się w najbliższych numerach „Kuźnicy“

ŻYCIE TEATRU

Z Teatru im. St. Wyspiańskiego w Katowicach

„NIEBOSKA KOMEDIA“ Zygmunta Krasińskiego. Opracowanie sceniczne: Marian Godlewski, dekoracje: J. Jarnutowski, muzyka: K. Bończa-Tomaszewski.

„Nieboska komedia“ to rzadkie zjawisko na polskich scenach. Pojawienie się tego utworu w Budapeszcie i Wiedniu zwróciło nań trochę uwagi, ale, zdaje się, nie na tyle, by zainteresować nim bliżej szersze sfery społeczeństwa polskiego, coraz bardziej obojętniejącego na piękno wielkich dzieł literatury. A „Nieboska“ to przecie fenomen, obok którego obojętnie przejść mogli tylko współcześni, którego nie można bagatelizować dziś, tak jak nie będzie też można pominąć go za lat setkę. To szczytowe dzieło autora, który żył lat blisko pięćdziesiąt a unieśmiertelnił swą twórczość tylko raz — w dwudziestym pierwszym roku życia utworem godnym dojrzałego człowieka i dojrzałego artysty. Spróbujmy porównać, co w tym samym wieku pisał Mickiewicz lub Słowacki, a w całej pełni uświadomimy sobie godną najwyższego podziwu wyjątkowość tego dzieła, którym jest „Nieboska komedia“. Podziwiać tu musimy nie tylko artyzm tak daleko odbiegający od „młodzieńczych“ i bezpośrednio niemal z „Nieboską“ sąsiadujących prób Krasińskiego. Zastanowić się musimy nad dojrzałym i męskim ujęciem tragedii człowieka i tragedii ludzkości. Ten romantyczny poeta, goniący za ideałem, przeżywający klęskę swych marzeń będzie nam zawsze bliski przez swe człowieczeństwo. Postacie Marii i Orcia tkwią zawsze w pamięci, jak żywe ucieleśnienie poezji. Galeria osób, które ich otaczają to mistrzowską i niezawodną ręką naszkicowane typy. Najbystrzejsze podglądanie rzeczywistości nie uczyniłoby z tych ludzi czegoś więcej, niż dokonać mogła genialna intuicja poetka Krasińskiego.

Dramat społeczny, tj. trzecia i czwarta część „Nieboskiej“, mniej pewną kreślony ręką, ma dziś dużą wagę aktualności. Nie zawahał się ten młody arystokrata usprawiedliwić samego faktu rewolucji społecznej. Obarczył odpowiedzialnością za nią i za jej skutki swych tchórzliwych, upodlonych, pozbawionych moralnego oparcia towarzyszy herbowych ciemieżców ludu i wyzyskiwaczy. Rewolucję tę odtworzył w straszliwie krwawych barwach. Uczynił ją szaleństwem opętany gniewem ludu, dał jej tylko moc burzenia, odmawiając mocy twórczej, wskazując niezwykle trafnie na źródła jej rozkładu i upadku. Wskazał na konieczność rozwiązania tych kwestii, które dziś stanowią jeszcze oś palących a niezałatwionych problemów nietylko Polski współczesnej i niepodległej, ale i wielu, wielu t. zw. mocarstw. Jeśli komuś nie przemawiała do przekonania Hiszpania czy Z. S. S. R. powinien przegryźć się przez „Nieboską komedię“. Albo na odwrót!

Wystawienie „Nieboskiej“ to zawsze w naszych warunkach tylko kurtuazyjny gest w stronę wielkiego reper-

tuaru. Powiedzmy inaczej: to gest bankruta ostatnim wysiłkiem ratującego honor. Ten bankrut to teatr polski, którego „klient“ operuje już w stosunku do repertuaru kryteriami i określeniami: „ciężkie“, „poważne“, „smutne“, co oznacza: widzieć nie warto. Ale i ten gest cenić należy.

Katowickie przedstawienie „Nieboskiej“ każe stwierdzić, że włożono w nie dużo starań i pracy. Może najgorzej obszedł się reżyser z tekstem. „Nieboska komedia“ to mocno skondensowany i doskonale zbudowany dramat, z którego reżyser ująć może bardzo niewiele. Zaciemnieniem myśli przewodnich utworu jest skreślenie „chóru duchów złych“ i sceny w wąwozie. Natomiast z czystym sumieniem należało zachować chór chłopów w części III., rezygnując z będącego bez znaczenia chóru rzeźników, który w reżyserii i grze został zbyt przejawskawiony. Niefortunnie również obszedł się reżyser z tekstem sceny sądu w podziemiach nad hr. Henrykiem.

Sceny zbiorowe wypadły lepiej niż w „Wyzwoleniu“, ale jeszcze nie mogły zadowolić. Niekiedy na scenie panowała przeraźliwa pustka, innym znów razem ruszano się na niej z tradycyjną już martwością. W pierwszych dwóch częściach reżyser przy współudziale dekoratora dopuścił się zbyt dużych uproszczeń i monotonii. Za doskonale uznać należy rozwiązanie kwestii prologów, wygłaszanych przez aktora, ucharakteryzowanego według portretu Krasińskiego z r. 1834.

Artyści spisali się doskonale. P. Czajkowski niektóre kwestie upraszczał sobie pewnymi charakterystycznymi dla jego gry nawykami, ale całość roli utrzymał na dobrym poziomie, uzupełniając ją odpowiednimi warunkami zewnętrznyimi. P. Barwińska, jak zwykle dała grę świetną i przejmującą. P. Staszewski panował nad swymi manierami i dzięki temu rolę Pankracego zaliczyć może do lepszych. Już winą chyba Krasińskiego jest to, że ostatnia scena nie wypadła zbyt przekonująco. Z innych ról wymienić należy: Orcia, p. Jastrzębskiego jako Przechrzęta, p. Marecką, jako Dziewicę, p. Kostrzewskiego jako Ojca Chrzestnego i p. Śródkę jako Leonarda.

Dekoracje J. Jarnutowskiego najsłabsze w części III (obóz rewolucjonistów), najlepsze w IV. Z części I i II na uwagę zasługuje kaplica i scena balowa.

Nie znam się na muzyce, wiem, kiedy Krasiński wymaga muzyki „dzikiej“, ale to używanie sobie na wszelkiego gatunku trąbach, jakimi muzycznie zilustrowano „Nieboską“, miałbym ochotę określić jako horendalne. Pamiętam, jak często przed taką samą muzyką uciekałem z pewnego niewybrednego pod tym względem kościoła.

Publiczność premierowa złożyła niezrównane dowody braku kultury i nieznajomości utworu. Przyzwyczajona jest na wesoło na krótko.

Zh.

PRZEGLĄDY

W sejmie żydzi i o żydach

Pos. Rubinstein, rabin z Wilna. Omawia położenie ludności żydowskiej w Polsce. Wszędzie dąży się do wyrzucenia żydów poza nawias — („głos z sali: najwyższy czas“); kiedyś powiedziano, że antysemityzm jest socjalizmem głupców, dziś możemy powiedzieć, że jest on patriotyzmem głupców (głos z sali — dość tego). Z połączenia socjalizmu i nacjonalizmu wyrosło monstrum, którego wpływy zaczynają przenikać do Polski (głos z sali: jak wam tu źle, to macie Palestynę).¹

Pos. Michałowski z Grudziądza. Mówi o potrzebie chrześcijańskich kas bezprocentowych. Żydowskie kasy bezprocentowe w okresie od roku 1928 rozprzodziły przeszło 100 mil. zł, przy czym z kredytów tych korzystało z górą 123.000 osób.

Pos. Minberg — Łódź, przemysłowiec: Jako przedstawiciel ludności żydowskiej domagam się obrony nie tylko własności i życia, ale również obrony żydowskich placówek gospodarczych i prawa zarobkowania.

Pos. Sommerstein, adwokat ze Lwowa: Heca antysemicka dotarła do świątyni Temidy i ściągnęła Temidzie opaskę z oczu. Wyroki zależą od wyznania podsądnego. Dowodzi tego proces przytycki i wiele innych. Dzieli się świadków według wyznania i narodowości. Odsetek Żydów zatrudnionych w sądach, prokuratorskich urzędach, adwokaturze i notariatach jest minimalny. P. minister powinien być daleki od pogłębiania nienawiści jako kanclerz pieczęci prawa.

Pos. Miedziński ... jeżeli chodzi, o pośrednictwo, o drobny handel, to rozwój stosunków idzie w kierunku spółdzielni i kooperatyw, i nikt nie może wymagać od narodu polskiego, aby to hamował; przeciwnie — jest to rozwój dla nas zdrowy i musimy popierać go niezależnie od tego, że niesie on w sobie fatalną przyszłość dla Żydów.

Wielkie masy żydostwa, żyjącego w Polsce, tłumaczy się tym, że linia osiedleńcza przeprowadzona przez Rosję, sztucznie ich tu zgromadziła. Stąd to ogromne, nienormalne skupienie żydostwa u nas. Oczywiście mamy prawo jak każdy naród regulować planowo nienormalności powstałe w naszym życiu na skutek działalności obcych i wrogich nam sił. Jeżeli chodzi tedy o Żydów jako ludność napływową, skupioną szczególnie na pewnych

ziemiach w sposób sztuczny to naród polski, jako organizator i historyczny i faktyczny swego państwa ma pełne prawo wpływać na zmianę stosunków w tej dziedzinie.

Osobliwy kalendarzyk

W ostatnich latach coraz bardziej groźnym staje się dla Śląska niebezpieczeństwo zalewu żydowskiego. Zalew ten z roku na rok systematycznie postępuje naprzód. Nie tu miejsce dochodzić przyczyn, dzięki którym napływ żydostwa na Śląsk a zwłaszcza do środowisk wielkomiejskich odbywa się bez trudności. Kiedy indziej oświelimy te sprawy należycie. W tej chwili chcemy zwrócić uwagę na inną rzecz. Oto w związku z tym niektóre organizacje polskie, głównie zaś Polski Związek Zachodni, przedsięwzięły akcję (coprawda w terminie mocno spóźnionym) mającą na celu obronę polskiego stanu posiadania na Śląsku. Jednym z przejawów tej akcji są kalendarzyki, zawierające spisy polskich kupców i rzemieślników oraz innych zawodów. Chodzi o to, aby przez publikowanie tego rodzaju spisów orientować i pobudzać polskie społeczeństwo do nabywania towarów i załatwiania wszelkich interesów wyłącznie w polskich instytucjach.

Wydawanie przeło wspomnianych kalendarzyków to akcja w zasadzie godna pełnego uznania i poparcia. Podobny kalendarzyk wydał również P. Z. Z. w Chorzowie. I ten właśnie kalendarzyk zasługuje na szczególniejszą uwagę, a to dlatego, gdyż jest wzorem, jak nie wolno robić tego rodzaju rzeczy.

Przeglądając go, nie znaleźliśmy ku naszemu wielkiemu zdziwieniu między innymi nazwisk tak zdecydowanych Polaków jak R. Słup, właściciel sklepu przy ul. Wolności i A. Cieślar, krawiec przy ul. Piastowskiej. Początkowo sądziliśmy, że jest to pomyłka. Jakkolwiek dość dziwaczna, bo tycząca się Polaków, siedzących w centrum miasta. Ale na tym nie koniec. Ku naszemu oburzeniu stwierdziliśmy, że w tym samym spisie znajduje się szereg Niemców z Arturem Klupschem na czele, a więc z tym Klupschem, u którego nie tak dawno jeszcze palono gazety niemieckie, że wreszcie brak w spisie polskiego biura podróży „Orbis“, znajdującego się przypadkiem w ręku R. Słupa, którego sklep w spisie nie został zamieszczony.

Fakty powyższe naprowadziły nas na przypuszczenie, że mamy tu do czynienia nie z pomyłką, o której na wszelki wypadek, jakby dla asekuracji wspomniano w kalendarzu, ale z wyraźną i paskudną tendencją. Aby się utwierdzić w powyższym przekonaniu, postanowiliśmy zbadać sprawę. Informacje jakie zebraliśmy w Chorzowie, ujawniły następujący karygodny skandal. Podobno pewien funkcjonariusz Magistratu (nazwisko jego jest nam znane) mający ważki głos przy redagowaniu kalendarza, orzekł, że tacy ludzie jak na przykład p. Słup o zapatrywaniach niesamodzielnych są szkodnikami i dlatego nie powinni figurować w spisie polskich kupców.

Dla nas właśnie ten funkcjonariusz jest typem najgorszego szkodnika, którego postawilibyśmy bezzwłocznie pod pręgierz. Ale mniejsza o to, kto jest szkodnikiem. Nie chodzi nam też o tego półgłówkowatego „działacza“, który nie dorósł do pięć (nomen — omen) żadnej porządnej robocie i nie wart, by się nim zajmować. Chodzi nam o ważniejsze rzeczy. Tego rodzaju fakty, jak wyżej całą siłą przez nas napiętnowany ubliżają nie tylko polskiej organizacji, która w imię swych celów winna przecieć odnosić się jednakowo do wszystkich Polaków bez względu na ich przekonania polityczne, ale ubliżają przede wszystkim prowadze Polski i szkodzą sprawie polskiej na tutejszym terenie.

Z tego powodu podobne rzeczy są niedopuszczalne i karygodne.

Na zakończenie dajemy wyraz głębokiemu zdziwieniu, że P. Z. Z. dopuścił się wydania kalendarzyka o tak rażących skazach.

„Wstrząsy“ na Śląsku

Niedawno przeżył Śląsk „wstrząs“ spowodowany sprawą czytanek na klasę czwartą gimnazjalną, nazwijmy to „sprawą p. Goetla“; do podobnej historii chcemy obecnie powrócić.

Godzimy się najzupełniej z tym, że artykuł p. Goetla nie powinien się znaleźć w podręczniku szkolnym i uważamy, że sprawa ta jest przez prasę należycie skomentowana.

Chodzi nam o rzecz inną. Stwierdzamy, że p. Goetlowi stała się poniekąd krzywda, skoro jego tak żywo zaatakowano, a „wyczyny“ innych autorów uszły im na sucho...

Np. bez żadnego prawie „wstrząsu“ minął tzw. śląski numer „Wiadomości Literackich“, którego jeden mały odcinek pragniemy oświetlić.

W tym to śląskim numerze „Wiadomości Literackich“ umieszcza artykuł o Śląsku pani Wanda Melcer.

Oto wycinek: „Młodzież śląska przed egzaminem dojrzałości odbywa rekołeksje zamknięte, nazwijmy je hermetycznie zamknięte, i po odbyciu tych nieprawdopodobnych praktyk jest uznana za dojrzałą“.

„Sy git“ — jakby powiedział bł. p. Jankiel — wystarczy! Czy to jedno zdanie nie dyskwalifikuje całego artykułu p. Wandy Melcer i czy w pewnej mierze nie zniesławia Śląska?

Pani Wanda Melcer, pisząc to nie pomyślała o tym, że na Śląsku mamy władze szkolne, które podobnego stanu rzeczy nie tolerowałyby, zwłaszcza że władze te trudno o nastroje klerykałne posądzić...

Trzeba było też pomyśleć o tym, że grona nauczycielskie gimnazjów w województwie składają się przeciętnie z 15 do 20 osób. Stanowią je ludzie o różnych przekonaniach politycznych etc., pochodzący z różnych części Polski, skąd więc naraz na terenie Śląska mieliby się stawać „arcypapierskimi“ i świadectwa dojrzałości dawać za „hermetycznie zamknięte rekołeksje“? Odpowiedź p. W. Melcer brzmić może: „Czynią to dla chleba, z obawy przed klerykałną opinią środowiska“. Odpowiemy p. W. Melcer: „Czy Pani jest pewna, że w każdym gronie nauczycielskim jest przewaga opryszków, łamiących przysięgi służbowe, względy etyczne — czy pisze to Pani ot tak z rozmachem, by artykuł miał pieprz i paprykę“?

Autorka owego artykułu czyni też dużą krzywdę moralną młodzieży śląskiej. Urobić się może w reszcie Polski mylna opinia, że na Śląsku wystarczy udawać żarliwość religijną i za to ma się patent dojrzałości, podczas gdy w innych kuratoriach wymagają od młodzieży nauki, pracy i wysiłku.

A przecie szkoły na Śląsku pracują tak jak w innych województwach, a młodzież śląska w dużym procencie pochodząca ze środowisk robotniczych niejednokrotnie swe

KRONIKA

Generał Queipo de Liano mówił przez radio w Seville o swych wrażeniach z wycieczki do Malagi. Podobno drogi zdobytej prowincji pokryte są trupami mężczyzn, kobiet i dzieci. Że to nie fantazja, poświadcza przeciwnik generała, minister spraw zagranicznych rządu madryckiego. Opisuje on dantejskie sceny, rozgrywające się w czasie ucieczki tłumy komunistów z zagrożonego miasta. Fakty takie, jak wyżej podane, to codzienna strawa, jaką raczą nas pisma od szeregu miesięcy. Wiadomości te przechodzą bez większego wrażenia, jako że sprawy te dzieją się w dalekiej Hiszpanii, może też i dlatego, że życie przyzwyczaiło nas już do masowych morderstw u naszych sąsiadów, popełnianych — na większą lub mniejszą skalę — co pewien czas. A jednak nie wadzi zastanowić się nad wspomnianymi wypadkami i krajem, gdzie gruby konserwaryzm jednych i materializm marksistowski drugich rzuciły się na siebie, doprowadzając do zniszczenia dorobku narodowego i samego narodu.

Oczywiście kraj krajowi nie równy. Czy jednak i w innych państwach europejskich, nie zaznacza się coraz wyraźniej podział społeczeństwa, na dwa wrogie sobie bloki ideologiczne?

Niektóre zjawiska zdawałyby się potwierdzać mimo wszystko ten — może zbyt uproszczony — pogląd na zachodzące zjawiska społeczne. Że ludzie „po obu stronach barykady“, jak to się coraz częściej mówi, zdają sobie z tego sprawę, świadczy niezmiennie ciekawy jako dokument chwili artykuł Millera w „Wiadomościach Literackich“, poświęcony sprawie renesansu katolicyzmu w Polsce. Miller przyznaje, że katolicyzm „zsedł z pozycji obronnych, jakie zajmował u nas od czasu pozytywizmu, i znajduje się na froncie społecznym w ofensywie“. Równocześnie jednak — według autora — wzrastają prądy radykalne. Zaczyna straszyć widmo Hiszpanii. W dalszej części artykułu stara się udowodnić Miller, że duch chrześcijański nie jest wcale sprzeczny z radykalizmem społecznym.

Wydać mi się, że niezależnie od tego, czy zagadnienie to zostało postawione z większą lub mniejszą dozą szczerości, zostały tu dotknięte sprawy, które młody ruch narodowy bezpośrednio obchodzą. Kwestia zajęcia odpowiedniej postawy chrześcijańskiej w ogólnych ramach programu narodowego wydaje mi się bowiem szczególnie ważna. Oczywiście postawy szczerej, a nie podyktowanej względami taktycznymi. Otóż wiele zamętu w związku z tą sprawą przyczynia fakt, że u nas wciąż jeszcze trwają stare nałogi myślowe, lubiące utożsamiać postępowość i radykalizm z materialistycznym marksistowskim światopoglądem. Z tym zaś oczywiście chrześcijaństwo nie ma i nie może mieć żadnych punktów stykowych. Tym i innym kłopotom ideologicznym młodego pokolenia, przylgająca się nieporadnie, rzec można, z organicznym brakiem wyczucia, większość starszego społeczeństwa. Z obrad różnych instytucji i tonu wydawanych denuncjacji wieje duch niezrozumienia tego, co się dzieje. I nic dziwnego. Sprawy religijne do niedawna były powszechnie uważane za domenę życia ściśle prywatnego, toteż nadawanie im tak wyraźnego aspektu społecznego jest rzeczą względnie nową. Jest jednak o wiele więcej zagadnień, co do których trwa pewnego rodzaju nieporozumienie. Do takich należy bez wątpienia groźnie narastająca kwestia żydowska. Niehumanitarne metody, w jakich ujawnia się antysemityzm na uniwersytetach wywołują zdziwienie, jako coś, czego dawniej nie bywało i być nie mogło. Zwyczajnie lubi się te objawy upraszczać, określać je mianem psychozy i czekać co z tego wyniknie. Charakterystyczne jest tylko to, że ta „psychoza“ nie wywołuje w zasadzie negatywnej reakcji społeczeństwa, mimo brutalnej formy, w jakiej się — na terenie uniwersyteckim — objawia. Nikt nie kwapi się zbyt bronić nadszarpniętego huma-

młode lata spędza w pracy, biedzie i niedostatku i wysiłkiem zdobywa patent dojrzałości.

Po zdaniu egzaminu dojrzałości znaczny odsetek młodzieży śląskiej odbywa rekołeksje zamknięte dobrowolnie. A więc wyraźnie: „po“ i „dobrowolnie“.

Tyle w imię prawdy, której nie mogliśmy znaleźć w słowach przytoczonych z artykułu p. W. Melcer.

Skąd jednak tak często ludzie „mylą się“, pisząc o Śląsku.

Pochodzi to stąd, że Śląska nie znają dobrze, nie wgrzybli się weń oczami, sercem i słuchem. Część tych autorów, to goście, przelotne plaki. W „Astorii“ przy kawie zbiorą garść powiedzonek i artykuł gotowy, forsa jest.

W imię interesu etyki obowiązującej zwłaszcza t. zw. sfery intelektualne i w imię interesu Śląska trzeba z tym walczyć.

Szewe wyrabiający liche buty nazywany jest partaczem, kupiec sprzedający marny towar tandeciarzem itd.

Czy dla pisarza, który jako prawdę podaje fakty nieistniejące, mamy wymyśleć jakiś epitet? Dobrze! Ogłoszmy konkurs! Wynik gotów być soczysty.....

Z. Grzymała

itaryzmu. Czyżby i starsze społeczeństwo zrozumiało, że ma w tej sprawie trochę nieczyste sumienie(?), że wytworzyły się warunki życia dla młodzieży zbyt już nieznosne wobec zalewu żydowskiego?

Jeśli już o żydach mowa, zanotować warto, że ukazał się w ostatnim (lutowym) zeszycie „Tęczy“ interesujący artykuł Jordana omawiający elementy psychiki żydowskiej w literaturze nowoczesnej. Na uwagę zasługują szczególnie scharakteryzowanie kierunku „odbronzowienia“ postaci historycznych, (Boy, Górka) jako elementu żydowskiego. „Wzniosłość“ — pisze Jordan — „ściągnięta z koturnów, przybrana w szlafrok, krzycząca w pantoflach, odbita w krzywym zwierciadle małpiej złośliwości — toż to balsam dla serc, strwożonych własną małością!“. Wrogi stosunek do wzniosłości, walka z narzuconymi i obcymi dla żydów autorytetami świata chrześcijańskiego, lubowanie się w poczuciu własnej samotności wobec świata przemawiane chętnie z pomiędzy pisarzy nie — żydowskich zwłaszcza przez kobiety (Nałkowska, Gojawiczyńska, Dąbrowska), oto dalsze cechy psychiki żydowskiej, ujawniające się w współczesnej literaturze, przy czym autor ma tu na myśli głównie literaturę polską. Smutna lecz prawdziwa jest refleksja Jordana, że z powodu ciągłego prawdnego przenikania się prądów kultury żydowskiej i europejskiej, dziś niejeden żyd posiada więcej pierwiastków kultury europejskiej niż zżydziały europejczyk. Ludzi tego pokroju znamy wszyscy. Niedawno przekonani filosemici i snobujący się na czerwono, dziś przeważnie wietrzą zmianę wiatru i próbują udawać zagorzałych antysemitów.

J. K. Z.

Słuchając wrażeń Jana Wiktora z wycieczki po Bułgarii....

Z ramienia Ligi Morskiej i Kolonialnej odbył się w Katowicach niedawno źle zorganizowany odczyt wybitnego pisarza, Jana Wiktora o Bułgarii. Tak dorosła publiczność jak i młodzież szkół średnich nie dopisała frekwencji. A szkoda! Było czego słuchać. W barwnych i plastycznych słowach przedstawił autor nie tylko piękno ziemi bułgarskiej, ale i piękno duszy Bułgara. Mówił więc o niesłychanie gorącym przyjęciu, jakiego tam doznała polska wycieczka, o grobie (raczej pomniku) króla Władysława Warneńczyka, otoczonego wielką czcią przez naród bułgarski. Ze wzruszeniem słuchaliśmy o gorącym kulcie naszej literatury, zwłaszcza romantycznej w Bułgarii, o naszych bułgarskich przyjaciółach, co Księgi Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego umieją na pamięć i uważają za polską ewangelię słowiańszczyzny (podczas gdy często u nas inteligencja nie ma żadnego pozytywnego stosunku do tych szczytów naszej kultury).

Słuchając tych wrażeń Jana Wiktora, uprzytomniłem sobie, jak my Polacy, niewiele wiemy o naszych współbraciach Słowianach. O ich kulturze przede wszystkim! Jeśli Bułgarzy, Słowacy czy Jugosłowianie widzą w nas przodowniczy naród słowiański, to naszą jest rzeczą zainteresować się ich kulturą. Ale my o niej prawie nic nie wiemy. Potrzeba te pobratymcze narody udostępnić szerszemu ogółowi polskiemu. Potrzebne jest zatem pismo, poświęcone wyłącznie życiu kulturalnemu tych bliskich nam narodów słowiańskich, pismo, które by nas wprowadzało w literaturę, sztukę i myśl Bułgarów, Jugosłowian, Słowaków, Czechów, Rusinów, Łużyczan. Bez takiego przewodnika wiadomości nasze o kulturze i życiu narodów słowiańskich będą wciąż, ku naszemu wstydkowi, niedostateczne. Ministerstwo Wyznań Rel. i Ośw. Publ. oraz towarzystwa takie jak polsko-bułgarskie i td. winny takie pismo powołać do życia. Wymiana bowiem sympatii i dóbr kulturalnych musi być obupólna.

Pm.

*Jeśli jesteś przyjacielem
pisma,
zapłać prenumeratę
i zjednaj mu
prenumeratorów!*

Konto „Kuźnicy“ w P.K.O. nr. 304-581

Redakcja i Administracja: Katowice, ul. Dąbrowskiego Nr 4 — Telefon Nr 353-96 — Konto P. K. O. Nr 304.581

ABONAMENT: rocznie 5,— zł, półrocznie 3,— zł, kwartalnie 1,50 zł.
Numer pojedynczy 0,30 zł.

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 500,— zł, 1/2 strony 250,— zł, 1/4 strony 120,— zł,
1/8 strony 60,— zł, 1/16 strony 15,— zł. Drobnie ogłasz. 25 gr za słowo.

Przyjmuje się tylko ogłoszenia firm polskich i chrześcijańskich.